

13.V.51.

TYGODNIK
KATOLICKI

NR 16
ROK VI
CENA
70 GR.



Rola Ducha Świętego w duszy ludzkiej

Katolicy na ogół mało wiedzą o Duchu Św., a jeszcze chyba mniej o roli Jego w duszy ludzkiej. Katolicy na ogół mało mają nabożeństwa do Ducha Św. Duch Św. w szerokim świecie wiernych katolickiego świata, to wciąż jeszcze Bóg za mało znany.

A przecież rola Ducha Św. tak w Kościele Chrystusowym jak i w każdej ludzkiej duszy jest zasadnicza. W Kościele Duch Św. jest rozumem, światłem, ciepłem, sercem, mocą, uświęceniem. On dopełnia dzieło Chrystusowe. On jest nauczycielem Kościoła i słownem wiekistej prawdy, żyjącej w Kościele. Powiedział Zbawiciel: „Pocieszyciel Duch Św., Którego Ojciec posła w Imię moje nauczyć was wszystkiego i przypomni wam wszystko, co wam powiedziałem”. I Duch Św. uczy Kościół, prowadzi go, uświęca i prawdy Boże zachowa nienaruszalnie aż do skończenia świata.

Jakież jest działanie Ducha Św. w duszy ludzkiej, jaka Jego rola w sercu człowieka?

Duch Św. najpierw mieszka w duszy każdego z nas. Za mieszkanie Ducha Św. w duszy ludzkiej trzeba brać dosłownie. Jak w tabernakulach kościołów naszych rzeczywistość, prawdziwie żyje, mieszka Chrystus pod postacią Eucharystii, tak samo rzeczywistość, prawdziwie w duszy ochrzczonego mieszka Duch Św. Wyraźnie i w sposób niedwuznaczny nie pozostawiający żadnej wątpliwości podkreśla tę prawdę Pismo św. Apostoł Paweł, chcąc odwieść wiernych od ciężkich występków i grzechów pisze im: „Czyliż nie wiecie, że Kościołem Bożym jesteście, a Duch Św. mieszka w was” i rzuca pod adresem grzeszników straszliwe słowa: „A kto by znieważał Kościół Boży, zatraci go Bóg”.

Przez zamieszkanie Ducha Św. w człowieku godność ludzka dochodzi do szczytu. Dusza ludzka staje się mieszkaniem Tego, który uświęca. Staje się żywym Kościołem, żywego Boga. I dlatego to każdy grzech ciężki jest zbeszczecieniem świątyni Bożej, jaką jest dusza ludzka.

Duch Św. zamieszkuje w duszy ludzkiej i świątynię sobie z niej czyni od chwili chrztu. Kapłan mówi chrząc dziecko: „Wyjdź z tej duszy ducha nieczysty, a daj miejsce Duchowi Św.”. Od chwili chrztu jesteśmy własnością Ducha Św., do Niego należymy, On w nas działa poczynając przemożne dzieła Boże.

Pierwszym czynem Ducha Św. zamieszkującego duszę ludzką jest to, że przemienia nas w dzieci Boże. On daje duszy naszej nową naturę, nowe życie, nowe siły, których nie mieliśmy poprzednio. Przez Ducha Św. stajemy się uczestnikami natury Bożej i to nie z imienia, ale jak mówi św. Cyryl Aleksandryjski, w rzeczywistości. Czyż może być większa godność nad godność dzieci Bożych? Słusznie mówi tenże święty, że szczyt to najwyższej chwały być policzonym pomiędzy dzieci Boże. Dzięki Duchowi Św. przemieniamy nas w dzieci Najwyższego, możemy śmiało wołać do Boga nie „Panie” jak wołają niewolnicy i słudzy, ale możemy Go nazywać słodkim imieniem Ojca.

I dlatego woła św. Paweł Apostoł: „Nie przyjęliśmy Ducha niewolnictwa, lecz Ducha przynależności za syny, przez Którego wołamy: „Abba-Ojciec”. Tenże Apostoł w innym miejscu pisze: „Którzykolwiek Duch Boży są rzędzeni, ci są synami Bożymi”. A z tej wielkiej godności dzieci Bożych wywodzi Apostoł prawo nasze do

Boga”. A jeśli dziećmi Boga, to zarazem i dziedzicami Nieba i współdziedzicami Królestwa Chrystusowego.

Św. Jan Chryzostom, rozważając problem synostwa Bożego, zdziałanego mocą Ducha Św. pisze: „Patrz jak wysoko podniosła cię łaska Ducha Św. Plemieniem niebieskim jesteśmy, którego Rodzic w niebie króluję. Patrz, jak wysoko podniósł cię Duch Św. z tobą zjednoczony.”

Rola Ducha Św. nie kończy się na tym, że w nas mieszka i podnosi nas do godności dzieci Bożych. Duch Św. wielkością świętości swojej rozpromienia dusze ludzi, uświęca je. I wszystko co w nas czyste, jasne, dobre, szlachetne i piękne, jest dziełem Ducha Św. On jest dobrocią dobrych, świętością świętych, mocą męczenników,



**ALLE
LUJA** **ALLE
LUJA**
**PRZYBĄDŹ DUCHU ŚW.
NAPEŁNIJ SERCA WIERNYCH
I ZAPAL W NICH OGIEŃ
TWOJEJ MIŁOŚCI.**

bohaterstwem ofiarnych. On uczynił duszę Bogarodzicy tak piękną, iż zachwycił się w Niej Najwyższy. On św. Teresę uczynił tym małym ale jakże wonnym kwiatem w ogrodzie Bożym. On rozpromienił miłością Bożą serce św. Franciszka.

Duch Św. uświęca nas. Czyni to najpierw w ten sposób, że oczyszcza duszę z grzechów ciężkich. Ojcowie Kościoła mówią, że jak żelazo rozżarzone w ogniu oczyszcza się z rdzy, tak dusza przenikniona ogniem Ducha Św. oczyszcza się z grzechów. Wszakże nie kończy się działanie Ducha Św. w duszy na oczyszczaniu jej z grzechu. To dopiero początek działania Ducha Św. u człowieka. Następuje potem promieniowanie ognia Ducha Św., który obsypuje duszę całą hojnością łask. A im więcej podatna dusza ludzka na Jego działanie, tym hojniej ją obdarza. Św. Tomasz z Akwinu pisze, że pod działaniem Ducha Św. zostajemy niejako ubóstwieni. Podobnie wyraża się św. Maksym, mówiąc, iż jak żelazo włożone w ogień rozpala się jak ogień, tak też i człowiek przez Ducha Św. mieszkającego w duszy, przemienia się w Boga.

Św. Magdalena z Pan rozważając działanie Ducha Św. w człowieku i skutki tego

działania wyraża się, iż gdyby człowiek poznał jak bardzo miłuje go Bóg, gdy jest w łączności z Duchem Świętym, musiałby umrzeć z nadmiaru szczęścia i radości.

Rola Ducha Św. w duszy ludzkiej jest rolą twórczą. Przez siedmiorakie dary swoje urabia moc Ducha Św. istotę ludzką. Jest więc Duch Św. Duchem radości i pocieszenia. Chrystus Pan wyraźnie zwie Go „Pocieszycielem”. A Kościół w hymnach swoich świętych daje Mu nazwę „Najlepszego Pocieszyciela”. Niewątpliwie dlatego zwał Go Zbawiciel „Pocieszycielem”, bo wiedział jak bardzo na ziemi pociechy człowiekowi potrzeba, bo pamiętał, że na ziemi cierpienia są powszednim chlebem człowieka, że co krok spotykamy się z bólem, rozłąką, zawadami i śmiercią. Trzeba nam pociechy, bo często przegasa duch ludzki. Te pociechy w chwilach smutku użycza człowiekowi Duch Święty.

Jest Duch Św. duchem mocy. Stąpił na świat w posumie wichury. Mocą napelnia Duch Św. słabe serca ludzkie do borykania ze wszystkim co złe, z pokusami odwiecznego wroga zbawienia, z ułudami świata z pożądliwościami ciała.

Jest Duch Św. duchem miłości. Wiarą w Ducha Św. i nabożeństwem ku Niemu rozpala pierś ludzką ofiarną miłością dla bliźnich. Starożytni chrześcijanie mieli większy kult dla Ducha Św. i dlatego tak gorąca była wśród nich czynna i ofiarna miłość bratnia. Od Sycylii do Skandynawii wiele było szpitali pod wezwaniem Ducha Św. a we wielu miastach były i działały Stowarzyszenia miłosierne Ducha Św.

Duch Św. mocą Swoją przemienia do głębi istotę ludzką, jeśli człowiek podda się Jego błogosławionym działaniom, jeśli pozwoli Mu działać. Paweł Apostoł chcąc zachęcić wiernych, by powolnymi byli narzędziami łaski Ducha Św. upomina ich, by nie zasmucali Ducha Św.: „Nie zasmucajcie Ducha Św.”. Tenże Apostoł woła: „Ducha nie gaście” a gaszą Go wszyscy, którzy nie idą za głosem łaski. Do Żydów rzucił św. Szczepan takie słowa: „Wy się zawsze sprzeciwiacie Duchowi Świętemu”. Temu Duchowi jakże często sprzeciwia się człowiek i ludzkość. Ducha Św. nie gaście. Ducha Św. nie zasmucajcie. Wielki Toht rozważając te apostołskie słowa woła: „Bracia! Siostry! nie zasmucajcie Ducha Św., przeskadzając Mu w pracy wychowawczej, pracy twórczej i uświęcającej, lecz oddajmy się Jego działaniu, a przekonamy się, jak wdzięczna i piękna jest dusza, w której zamieszkał Duch Św... Nie gaście Ducha Św. źródła siły i miłości Bożej. W kim żyje Duch Św., ten jest spokojny, pogodny, choćby szedł przez morze cierpienia. W kim żyje Duch Św., tego życie jest tryumfem, choćby go nawiedziły największe klęski i niepowodzenia. Nie gaśmy w sobie Jego płomienia.

Przeto nie gaśmy w sobie Ducha Św. poddajmy się Jego działaniu. Niechaj w nas czyni wielkie dziwy Boże.

I módlmy się do Niego, aby napelnił mocą swoją świat po brzegi, aby ten świat poderwał do lotów szerokich, aby go napelnił swoim ożywczym tchnieniem.

I módlmy się, aby był mocą naszą na boowanie życiowe, aby nas zachował od wszystkiego złego.

„Panie przepal ogniem Ducha Św. nerki i serca nasze, abyśmy Ci czystym ciałem służyli i czystym sercem podobali się Tobie”.

DUCH ŚWIĘTY POCIESZYZCIEL

Obchodzimy dzisiaj uroczystość Zesłania Ducha Świętego. W dzień Zielonych Świątek Duch Święty zstąpił na Apostołów i uczniów zebranych w liczbie około 120 dusz w wieczerniku. W tym dniu objął On kierownictwo Kościoła katolickiego. Czym jest dusza ludzka dla człowieka; tym Duch Święty dla Kościoła. On — Duch prawdy stoi na straży prawdy Chrystusowej i daje nieomylną urzędową naukę Kościoła. Kościół katolicki to pierwszy wielki teren działalności Ducha Świętego.

Drugim terenem jest dusza ludzka. „Od Ducha Świętego — mówi św. Bazyli — pochodzi niekończąca się radość, od Niego wytrwanie przy Bogu, od Niego rzecz najwyższa, do której ludzie mogą dążyć, a mianowicie ubóstwienie”. Dokonuje się ono przez łaskę uświęcającą, przez którą otrzymujemy niebotyczną godność dzieci Bożych. Razem z łaską uświęcającą przychodzą cnoty wlane wiary, nadziei i miłości oraz siedmiorakie dary Ducha Świętego — jednym słowem dusza otrzymuje cały ekwipunek nadprzyrodzony aby mogła żyć i działać jako dziecko Boże.

Dusza ludzka przeznaczona jest do światłości wiekistej i już tu na ziemi dąży do światła, radości i prawdy. Niestety, czasem miast światła zalegają jej wnętrza ciemności egipskie, przychodzą ciemne noce bez gwiazd, dni zwątpienia i opuszczenia bez promyka nadziei. I wtedy tylko Duch Święty — Duch światłości, może rozprościć zalegające ciemności. Daje nam świadectwo, że jesteśmy dziećmi Bożymi, a więc dziećmi światłości i prowadzi nas ku Ojcu światłości. Wskazuje nam, że tylko grzech może nas oderwać od Ojca w niebie i przestrzega przed zejściem na drogę grzechu. Czyni to

Duch Święty w rozmaity sposób. Mówi bezpośrednio — cichym a mocnym tchnieniem łaski, odzywa się w głosie sumienia, w wspomnieniach Kościoła, rodziców, przełożonych, w radach wiernego przyjaciela czy też życzliwych ludzi, pociąga przykładami świętych Pańskich.

Poznanie, oświecenie — to jeszcze nie wszystko. Od poznania do postanowienia, do decyzji, do aktu woli, a od niego do wykonania zamierzonej czynności droga jest daleka, uciążliwa i trudna. Dobrymi chęciami wybrukowane są drogi do piekła. Jest

w nas to straszne rozdarcie wewnętrzne, na które zalił się sam wielki św. Paweł stwierdzając, że czuje w członkach swoich, w ciele swoim inne prawo, które się sprzeciwia prawu rozumu. To samo powiedział pogański poeta Owidiusz pisząc: „Widzę rzeczy lepsze i pochwalam je, a idę za gorszymi”.

Duch Święty jest Duchem siły i mocy. Słabi, małoduszni Apostołowie umocnieni w dniu Zielonych świąt stali się mocarzami, nieustraszonymi bohaterami, nie lękali się żadnego trudu ni znoju w pracy nad podbijaniem dusz pod słodkie jarzmo Zbawiciela.

Zalił się kiedyś św. Paweł na utrapienia, przeszkody i dolegliwości, w chwili słabości gotów był rzucić wszystko, ale wytrwał do końca, bo usłyszał zapewnienie: „Dostę ty masz na łasce mojej, albowiem moc w słabości doskonała się staje”. I chlubił się potem z tego Apostoł narodów, pisząc w drugim liście do Koryntian: „Podobam sobie w słabościach, w potwarzach, w niedostatkach, w uciskach dla Chrystusa. Albowiem gdy słaby jestem, wtedy jestem potężny”. Od niego też pochodzą te wspaniałe słowa: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”.

Oświeca nas i umacnia Duch Święty — Duch światła, męstwa i mocy. O jaka to pocieszająca prawda!

Wołajmy dzisiaj i często w życiu: „Przyjdź. Najświętszy Duchu chwały!... O pociecho zasmuconych, słodki gościu dusz strapiionych i błoga ochłodo. W pracy miłe wypocznienie, w skwarach lube ochłodzenie i w placu osłodo”.

Ks. Musiel Fr.

EWANGELIA

NA UROCZYSTOŚĆ ZESŁANIA DUCHA ŚWIĘTEGO CZYLI ZIELONE ŚWIĄTKI

(Św. Jan 14, 23—31)

Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim: Jeśli mnie kto miłuje, będzie przestrzegał nauki mojej i Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i przebywać u niego będziemy. Kto mnie nie miłuje, nauki mojej nie przestrzega. A nauka, którą słyszeliście, nie jest moja, ale Tego, który mnie posłał, Ojca. To wam powiedziałem, wśród was przebywając. Lecz Pocięszyciel, Duch Święty, którego Ojciec posła w imię moje, On wam wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, cokolwiek wam powiedziałem. Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam, nie jako daję świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze ani się nie lęka. Słyszeliście, że ja wam powiedziałem: Odchodzę i przychodzę do was. Gdybyście mnie miłowali, zaiste radowalibyście się, że idę do Ojca. Bo Ojciec większy jest niż ja, i teraz powiedziałem wam, zanim się to stanie, abyście, gdy się stanie, uwierzyli. Już o wielu rzeczach wam mówić nie będę. Nadchodzi bowiem książe tego świata, lecz nie ma on nic we mnie. Ale, żeby świat poznał, że miłuję Ojca i jak Ojciec mi rozkazał, tak czynię.

Ks. dr M. Rzeszewski.

DAR

Dar rady wskazuje jak postępować w trudnych okolicznościach; w wątpliwościach chroni od złego i wskazuje to, co jest sprawiedliwe i dobre. Ma on szczególne zastosowanie w problemie cierpienia. Umysł ludzki przy dużym wysiłku daje częściowe wyjaśnienie tego problemu. Ale jakże bardzo trzeba daru Ducha Św., aby umysł do tego rozwiązania przekonać i sprowadzić don pokój wynikający ze stwierdzenia, że miłującym Boga wszystko pomaga do dobrego.

Trzeba daru Ducha Św., aby żyć według tej wiedzy. Cierpienie jest w planach Bożych środkiem do wzmocnienia i pogłębienia jasności wizji; jest środkiem do miłości; ma strzec przeciw powierzchowności, przeciw ucieczce od Boga i chronienia się w zewnętrznościach religii; ma ukazać grzech jako sprawę kosmiczną, za którą wszyscy dzielimy odpowiedzialność, ma więc prowadzić do miłości chcącej pokutować i odnawiać. Trzeba na to wszystko daru: trzeba go, aby wskazał co jest najlepszego do zrobienia, jak najlepiej Opatrzności Bożej odpowiedzieć; trzeba jego siły do przyjęcia lub wyboru rzeczy trudnych i do uczynienia ich wyrazem miłości, udziałem w zbawczym cierpieniu Chrystusa. Trzeba daru, aby ból obrócić w twórczą radość; trzeba daru, aby zamienić ból nie w cierpiętnictwo czy zamknięcie się w sobie, lecz w większą miłość i służbę rodzinie ludzkiej.

Dar rady łączy się więc w szczególności z łitością. Wykorzystuje się swój ból uży-

wając go do pomnożenia współczucia, a to dzieje się wtedy, gdy pozwalamy Duchowi Św. działać dla powiększenia naszej zdolności radzenia innym. Matka Miłosierdzia jest również Matką Dobrej Rady: trzeba naśladować Ją w jednym i drugim. Kto rozumie cierpienie, ten umie dobrze radzić innym; mądrość i rada są wonnym kwiatem współczucia. Współczujący będzie dobrym sługą Chrystusa, bo będzie umiał mówić głosem Jego, przynosić innym Jego pociechę i moc. „Jeśli ziarno pszeniczne nie obumrze samo zostanie”; poprzez ból świata trzeba się odrodzić do nowego życia; lecz to nowe życie jest życiem owocnym dla całego świata bo służy Chrystusowi, w Chrystusie i dla Chrystusa; wyraża mądrość i współczucie krzyża. Aby być człowiekiem dobrej rady trzeba znać chrześcijańską postawę wobec cierpienia. Nawet umysłowi najświetniejszemu czegoś brak dopóki nie ma doświadczenia miłości, a drogą do niej jest cierpienie. Bo z mądrości wynikać z

RADY

cierpienia rodzi się pokój, a mając pokój w głębi duszy, można dobrze radzić.

Z darem rady łączy się modlitwa żalu, wyraz pocucia winy i odpowiedzialności za ból świata. Bóg jest straszliwy. Potrzeba człowiekowi modlitwy żalu, aby w czci i bojaźni utrzymać zażyłość. Potrzeba jej, bo jest to konieczny składnik takiego przyjęcia cierpienia, które odnawia świat. Trzeba najpierw modlitwy za własne grzechy; warto przy tym zauważyć, że żal nie jest nietwórczą zgryzotą, dumaniem nad przeszłością, lecz twórczym odkupieniem przeszłości; twórczym, bo grzechy są złem, z którego może wyjść dobro większego zrozumienia i miłości, a smutek obraca je przez to na dobro, tworząc w ten sposób przyszłość. Ten twórczy cel modlitwy żalu powinien ją w praktyce określać: normalnie jest rzeczą niemądrą i marnotrawną szczególnie rozgrzanie przeszłości; powinno się raczej pamiętać o ogólnej grzeszności lub głównych drogach, w których się ona objawia; gdy jaśniejsza wizja wskazuje wyraźniej zło dotad lekko traktowane, trzeba uczynić je specjalnym przedmiotem myśli i modlitwy, aby i to mogło się obrócić na przyszłe dobro.

Przed wszystkim za grzech jako taki trzeba żałować jako za obrazę Boga; nie

(Dokończenie na str. 140)

MATKA POCIESZENIA



W majowe wieczory na wsi.

Różne nazwy nadawali i nadają uczeni Matce Chrystusowej, wszakże najlepiej Jej odpowiadała za Jej ziemskiego życia nazwa Matki Boskiej Bolesnej. Wyniósł Ją Bóg ponad szczyty. Obdarzył Ją jak nikogo na ziemi, obsypał bezmiarem łask i miłością taką, że nikt z ludzi nigdy takiej miłości nie posiadał ani posiada. To wszystko prawda. Ale i to prawda, że wielkie wyniesienia, wielkie zaszczyty, wielkie godności trzeba płacić zawsze ofiarami. A im większe te zaszczyty i godności, tym większe ofiary. Przeto na Bogarodzicę zwały się ogromne krzyże i szły za Nią krok w krok po przez Jej całe ziemskie życie.

Syn Maryi mężem boleści. Jego Matka dzieliła z Nim bóle i krzyże. Cierpiał Chrystus, współcierpiała z Nim Matka.

Cierpi Bogarodzica od początku. Kościół św. wylicza siedem boleści Matki Chrystusowej, gdy płacze nad Jej bólami i współczuć z Nią pragnie. A co boleść, to większa, a co cios to głębszy, a co cierpienie, to straszliwsze. Jak drżało Jej matczyne serce, gdy siepacze Heroda szukali Dziecięcia, gdy w lęku bezprzytomna z trwogi uchodziła do Egiptu. Jak krajało się Jej matczyne serce, gdy w świątyni słyszała prorocтва Izajasza o Synie Swoim, gdy uświadomiła sobie, że będzie „mężem boleści“, „ubity“, „jako trędowaty“, „unizony“, „wzgardzony“, że przeboda Jego ręce i nogi, że policzą wszystkie kości Jego, a w pragnieniu napoją Go octem, że od stopy do wierzchu głowy nie będzie w Nim zdroża, że zedrze Go świat i rozdepcze jak robaka. Co za mękę przeżyć musiała, gdy na wieść o uwięzieniu Syna wybiegła na ulice Jerozolimy i tam Go spotkała na straszliwej drodze krzyżowej, wlokącego ciężkie brzemie krzyża. Wprost nie poznawała Go. Ze zdrowego, pięknego, pełnego siły mężczyzny został skrwawiony łachman ludzki, ledwie wlokący nogi, po wyboistych drogach świętego miasta. Któż pojąć może ból Matki Bożej, gdy Jej oczy zetknęły się z ukochanym oczyma Syna w takiej straszliwej sytuacji?

A kto zrozumie co przeżył Jej serce, gdy przytulona do krzyża, na którym wisiał Jej Syn przez długie godziny wyczuwała wszystkie drgnienia Jego męki. Kto pojąć potrafi ogrom matczynego bólu, gdy po drzewie krzyża spływa krew Zbawiciela na Jej matczyne ręce? Słusznie można wspomnieć słowa proroka: O, wy wszyscy, którzy idziecie drogą, pójďte, a obaczycie, czy jest boleść, jako boleść moja, „Wielkie jest jako morze skruszenie Twoje“.

Cierpienia swoje zносиła Matka Chrystusowa mężnie. Mówi o tym Pismo św. krótko, ale jakże treściwie. Oto pisze, że pod krzyżem Jezusa „Stabat Mater“, „Stała Matka“. Nie złamał jej ból, nie przygniotła do ziemi rozpacz. Ona stała mężnie męczennica Nowego Zakonu. Mówi św. Anzelm „nie darła szat na sobie z nadmiaru bólu, nie narzekała, nie dopominała się o zemstę u Boga, nie wyrwała sobie włosów, nie wyprawiała krzyków. O nie! stała. Stała pod krzyżem prosto, opanowana, silna. Oczy napełnione łzami, serce pełne cierpienia, prawdziwy wzór jak mamy znosić śmierć najbliższych.“



Przed kapliczką Matki Bożej.

Kościół katolicki czci boleść Matki Chrystusowej, bo aż dwukrotnie obchodzi uroczystość Matki Boskiej Bolesnej; raz w piątek przed niedzielą palmową, drugi raz 15 września. Kościół oprócz tego w swoich pieśniach, modlitwach, obrazach, rzeźbach i budownictwie często zwraca uwagę na cierpienia Matki Bolesnej. Czyni to, by godnie uczcić ból wielkiej męczennicy, a także i poto, by cierpiącym wiernym wskazać godny wzór do naśladowania. A najwięcej może pragnie Kościół pokazywać ból Matki Zbawiciela matkom.

Tak. Bo jeśli komu, to matkom trzeba wpatrywać się w boleść Matki Chrystusa i w Jej męstwo. Pisze ks. Biszyga: „Każda matka, to prawdziwa męczennica na ziemi. Ten przywilej męczeństwa głosi Bóg matce każdej i żonie już na pierwszej karcie Pisma św. gdy mówi: „w boleściach rodzić będziesz“. Rodzi dziecko w boleściach, ale i wychowuje w boleściach. Każde dziecko zrodzone i wychowane, to palma męczeńska w rękach matki. Cóż dziwnego, że chorągiew i sztandar, pod którym Kościół grupuje matki, nosi barwę czerwoną, właściwą wszystkim męczennicom. Choć słabsza z natury od mężczyzny, musi w życiu całym na stokroć większe zdobyć się ofiary, niż

mężczyzna silniejszy od niewiasty. Jej oczy muszą wciąż zaciekać od łez, a serce rumieć się od krwi. Jak lilia rośnie między cierniami, tak matki życie otoczone w koło cierniami. Ona cierpi w dzień i cierpi w nocy. Cierpi nad kołyską, cierpi nad trumną. Cierpi od męża, cierpi od dzieci, a często od ludzi.“

Każda matka męczennica, dlatego każda matka powinna wpatrywać się w tę Największą z Matek cierpiących i z Niej czerpać tężną i moc na mężne znoszenie cierpień. Każda matka powinna mieć szczególnie gorące nabożeństwo do Matki Boskiej, a specjalnie do Matki Boskiej Bolesnej, aby nie łamać się w bólach i cierpieniach matki, które tak często na serce matczyne się zwalają.

Dla wszystkich ludzi a specjalnie dla matek cierpiących, Matka Boska Bolesna jest Matką Pocieszenia. Z Niej, z Jej bólu spływa na cierpiących przez dwa tysiące lat balsam ukojenia. Bezmiar Jej cierpienia każe ludziom zapominać o ich mniejszych cierpieniach. Spokój Matki Bolesnej każe ludziom cierpiącym spokojnie znosić ich cierpienia. Cudowna moc kultu Bolesnej Matki leży i w tym, że Ona podnosi dusze cierpiące do Jezusa. Od Niej pod krzyżem tak mężnie stojącej jakże blisko do umęczonej głowy Jezusa, zwisającej, w ofierze za ludzkość na drzewie boleści. A cierpienie Jezusa uświęca każde cierpienie, czyni je skarbem przed oczyma Bożymi. „Kto chce iść za mną, niech weźmie krzyż na ramiona a naśladuje mnie“.

Więc z kultu Matki Bolesnej spływa ku cierpiącym ukojenie. Matka Bolesna staje się Matką Pocieszenia. Ona dźwiga, podnosi leczy, wlewa męstwo, rozpromienia krzyże życia. I dlatego do Niej się zwracamy w ciężkich chwilach życia. I dlatego jak pisze biskup Toth: „Póki istnieć będą choroby, klęski, ból, i cierpienie, czyli dopóki istnieć będzie na ziemi człowiek, kult Matki Boskiej Bolesnej zawsze pozostanie niezawodnym źródłem siły. Matka Boska Bolesna jest naszą przystanią po burzach życia. Z pewnością słyszy nasze wołania: „Matko miłosierdzia“, „Pocieszycielko strapiionych“, „Wspomożenie wiernych“, „Uzdrowienie chorych“ — módl się za nami. Wzdyhamy do Niej z łez padołu i wierzymy, że nas wysłucha, bo jest naszą Matką.“

Z ufnością może człowiek cierpiący do Matki cierpiącej kołatać.



Wśród pól i łąk.

Ora et labora

Módl się i pracuj

Gdy więcej już, jak 1400 lat, założyciel zakonu, św. Benedykt wysunął na czoło innych, dwa te słowa: Ora et labora, tym samym podłożył niejako podwaliny pod nasze pojmowanie wspólnoty, złączenia ziemskiego praw Bożych i ludzkich.

Módl się i pracuj. Krótko i jasno, a jakże głęboko brzmią te proste, jasne dla każdego słowa. Jasne w swej treści, jasne w nawoływaniu do właściwego trybu życia, do właściwej postawy katolickiej. Zdawałoby się, że wystarczy je tylko przypomnieć każdemu z nas, by zaczął realizować je w pełni.

Niestety, tak to już bywa, że rzeczy podstawowe, najbardziej jasne i proste, najtrudniej pojmowane bywają przez ludzi, że rzeczy takie trzeba najdłużej i najtrudniej tłumaczyć, przekonywać, udawadniać. Szczególnie u nas w Polsce.

Dzieje się tak może dlatego, że zastanawiamy się szerzej, głębiej nad zagadnieniami złożonymi, wymagającymi dla ich właściwego pojęcia pewnej gymnastyki umysłowej. Tymczasem sprawy proste przyjmujemy jako takie, nie zadając sobie trudu nad ich pełnym przyswojeniem. I stąd przeskakujemy przez nie niejako, pomijamy jako problemy nie wymagające wysiłku ani zastanowienia dla ich pełnego zrozumienia.

Tak jest i z wezwaniem — módl się i pracuj. Zrozumiałe — trzeba się modlić i trzeba pracować. Nad czym tu wiele się zastanawiać? A właśnie przeciwnie, jest, i to bardzo jest nad czym się zastanawiać. Rzeczy najprostsze bywają czasem najtrudniejsze i do zrozumienia i do wprowadzania ich w życie.

Módl się i pracuj. Zastanówmy się wspólnie nad zagadnieniem.

Praca. Praca jest podstawowym czynnikiem naszego życia doczesnego. Zabezpiecza nam ona byt nasz i naszych rodzin, daje nam satysfakcję własnej wartości, własnej przydatności w życiu społecznym. Człowiek nie żyje izolowany od otoczenia, nie jest samotny. Życie jego łączy się z życiem innych ludzi, z życiem społeczności. Życie w społeczności stwarza pewną współzależność jednych od drugich. Czynnikiem regulującym te stosunki wzajemne jest właśnie praca. Stwarza ona podstawę dla wymiany dóbr, dla uzyskania dla siebie tego wszystkiego, co jest mu do życia potrzebne. Praca jest miernikiem wartości jednostki, tak wartości społecznej jak jednostkowej. Oczywiście, nie jedynym miernikiem...

Problem pracy jest problemem bardzo złożonym. On stwarza pewne przeobrażenia społeczne, prowadzi do zasadniczych zmian ekonomicznych i politycznych. Istotą, założeniem niejako życia ludzkiego jest konieczność pracy. Powiedzieliśmy, że człowiek jest istotą społeczną, że ze społeczeństwem łączy go rozliczne więzy. Człowiek nie pracujący, nie zarobkujący na życie, staje się niejako pasorzytem społecznym — utrzymuje się bowiem przy życiu dzięki pracy innych, którzy produkują konkretne wartości materialne. Tym samym zakres pracy spadający na jednostkę, która od pracy się uchyla, rozłożony zostaje dodatkowo na innych. Spotykamy się więc tutaj z problemem krzywdy społecznej, z problemem wyzysku. A wyzysk ten wzrasta, gdy jednostka niepracująca a korzystająca z pracy innych, rozszerza zakres swych zapotrzebowań życiowych. Następuje coraz silniejsza dysproporcja między człowiekiem pracy a wyzyskiwaczem. Tu-

taj kryje się podłoże konfliktów społecznych, podłoże walki mas pracujących o swe prawa, o sprawiedliwy podział dóbr ekonomicznych itd.

To byłoby szkicowe, prawno-ekonomiczne określenie zagadnienia pracy. Ale praca to jeszcze także i bardzo ważki problem moralny. Człowiek, który pracuje, ma poczucie swojej przydatności społecznej, poczucie swojej wartości, aktywnego udziału w życiu społecznym. To pierwszy czynnik z kategorii moralnych. Drugim byłoby znalezienie treści i celowości swego bytowania. Człowiek nie urodził się po to, aby żyć bez celu. Istnienie jego musi mieć sens. Jest sens zasadniczy, pozaziemski, nadrzędny, i jest sens doczesny. Treścią sensu doczesnego jest właśnie praca. Praca daje zadowolenie moralne, daje oparcie i pion postępowania ludzkiego, chroni przed demoralizacją kojarzącą się zawsze z lenistwem, z beczynnością. Trzecim wreszcie czynnikiem z tej kategorii jest czynnik zadowolenia z własnej pracy. Praca bowiem wcale nie jest nieszczęściem, nie jest tylko karą dla rodzaju ludzkiego. Nawet najcięższa praca, najbardziej znojna i pod potem wykonywana, daje człowiekowi radość.

Praca jest zasadniczą treścią życia człowieka na ziemi. Praca, którą należy traktować radośnie, przez którą należy znajdować poczucie własnej wartości społecznej, która ma stwarzać nam warunki do pełnego korzystania z wszystkich dóbr kulturalnych i cywilizacyjnych.

Ale życie człowieka nie ogranicza się do spraw ziemskich. Przeciwnie, życie na ziemi ma być wstępem do wiecznej szczęśliwości w życiu przyszłym, pozagrobowym. To przejście umożliwia nam i ułatwia wiara w Boga i stały z Nim kontakt. Kontakt z Bogiem, to przede wszystkim postępowanie w myśl Jego zasad, realizowanie Boskich przykazań życia na ziemi. Pomocą, podtrzymaniem w tym postępowaniu jest modlitwa, wielki dar Boga dla ludzi.

Modlitwa wyjednuje nam Łaskę, modlitwa chroni nas od grzechu, pomaga walczyć z pokusami, pomaga nam w lepszym zrozumieniu wielkości Bożej i nieograniczoności Jego miłości.

Modlitwa nie jest czynnikiem wymiernym ekonomicznie, prawnie nie da się jej ustawić w żadne kanony materialne. Jest czymś nadrzędnym, czymś, co stanowi niejako pomost między zagadnieniami doczesnymi, a wiecznymi.

Ora et labora. Módl się i pracuj. Modlitwa postawiona została tutaj wyraźnie na pierwszym miejscu. I słusznie. Modlitwa bowiem pomaga nam we wszystkich sprawach naszego życia. Pomaga nam też i w pracy. Daje do niej właściwe, odpowiednie nastawienie, wzmacnia siły fizyczne i umysłowe, chroni przed zniechęceniem.

Dla katolika obie sprawy — modlitwa i praca — są sprawami niesłychanie ważnymi. Nie może nigdy zapominać o modlitwie, nie może też nigdy niewłaściwie traktować pracy — zarówno traktowanej jako pojęcie, jak i jako swój osobisty współudział w życiu społecznym.

Ora et labora. Módl się i pracuj. Słowa tak jasne w swej treści, w swym znaczeniu, że częstokroć pomijamy je bez zastanowienia, bez chwili namysłu. A warto, więc, a trzeba zastanawiać się nad nimi stale i nieustannie, tak są ważne, tak nie do zastąpienia w naszym życiu przez cokolwiek innego.



Orka idzie sprawnie.



Siew Pokoju na Ziemach Zachodnich.



Uprawa ojczystej ziemi.



Po nauce trzeba pomóc przy sadzeniu ziemniaków.

Wielki reformator muzyki kościelnej

(W stulecie urodzin ks. prałata dr. J. Surzyńskiego)

W drugiej połowie XIX wieku w Europie zachodniej rozpoczął się szerzyć ruch reformatorski, mający na celu przywrócenie charakteru liturgicznego muzyce kościelnej. Ruchowi temu patronowały poważne ośrodki zakonne we Francji i w Niemczech. Reformatorom chodziło o powrót do surowej reguły kanonu gregoriańskiego i ducha klasycznej muzyki włoskiej XVI i XVII w., wyeliminowanie z muzyki kościelnej wszelkiego stylu nieodpowiadającego powadze liturgii, ściśle powiązanie wzniosłych tekstów liturgicznych z utrzymaną w tym samym duchu muzyką. Wyłoniły się z tego dalsze konsekwencje, jak przywrócenie właściwej roli organom, które jakże często zastępowano wówczas innymi instrumentami (np. skrzypcami), postawienie na właściwym poziomie studiów muzycznych dla dyrygentów i organistów, odnowa chórów kościelnych (powstają wówczas w kilku miastach chóry złożone wyłącznie z chłopców i mężczyzn), wreszcie sprawa wychowania w duchu reformy wiernych i wdrożenie w nich zamiłowania do śpiewu liturgicznego. Ruch ten znalazł uznanie u ówczesnych papieży, Piusa IX i Leona XIII, którzy odnieśli się do niego przychylnie, zalecając całemu Kościołowi wejście na tę drogę. Nie było to oczywiście zagadnienie odosobnione i dotyczące jedynie muzyki kościelnej. Miało ono silny związek z odnową życia religijnego w wielu krajach w ogóle, a z szerzącym się coraz powszechniej w Kościele ruchem liturgicznym w szczególności. Ruch ten nie ustał, jak wiemy, aż do naszych czasów, znajdując w obecnym Ojcu św., Piusie XII, swego gorącego szermiera i należytego propagatora.

Polska, będąca częścią Kościoła Powszechnego, nie mogła nie być objęta tym prądem, gdzie i sam stan muzyki kościelnej, ze względu na brak odpowiednich ludzi i szkół, znajdował się w stanie bardziej opłakanym niż gdzie indziej. Zaszczytna rola reformatora muzyki kościelnej w Polsce przypadła w udziale ks. prałatowi dr. Józefowi Surzyńskiemu. Wielce to zasłużona dla Kościoła w Polsce postać. Urodzony w Wielkopolsce, w Sremie, 15 marca 1851 r., wcześniej zetknął się on z muzyką, zwłaszcza zaś kościelną, za pośrednictwem ojca, który był organistą. Odtąd, mimo że po skończeniu gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, poświęcił się Służbie Bożej, nie rozstał się z muzyką do końca swego życia. Będąc na studiach teologicznych w Rzymie, ks. Surzyński zajmował się tam również poważnie studiami muzycznymi. Przepiękne tony chorału gregoriańskiego oraz wspaniała muzyka Palestriny i innych mistrzów włoskich, hiszpańskich i niderlandzkich wywarły na nim nigdy niezapomniane, głębokie wrażenie, a przy tym pragnienie, aby i w Polsce poznano tę piękną muzykę. I tu zrodziła się w nim myśl o reformie, bowiem nikt lepiej od niego nie znał jakie kompozycje śpiewało się i grało po kościołach w Polsce i jaki poziom przedstawiali organisci, dyrygenci i chóry. Kiedy więc w 1881 r., jako młody kapłan i muzyk jednocześnie, powrócił do Polski i objął stanowisko organisty i dyrygenta Chóru Archikatedralnego w Poznaniu, zabrał się niezwłocznie do dzieła.

Wkrótce też praca jego zaczęła wydawać pierwsze swoje owoce. Utworzył więc najpierw chór złożony wyłącznie z chłopców i mężczyzn, w przeciwnieństwie do dawnego mieszanego (po nim pracę nad chórem kontynuował ks. dr W. Gieburowski). Wierni poraz pierwszy być może od dziesiątek lat

w Polsce usłyszeli piękne, śpiewane msze, preludia, chorały i psalmy, których dla wielkich trudności nikt dotąd wykonywać nie potrafił. Z biegiem czasu wśród kompozycji śpiewanych przez chór zaczęły się pojawiać coraz częściej własne utwory ks. Surzyńskiego, który i w tej dziedzinie starał się zapełnić ogromną lukę w polskiej mu-



zyce kościelnej. Z pod jego pióra wyszły msze, litanie, preludia, offertoria i liczne pieśni kościelne, napisane w ścisłym duchu z liturgią kościelną i nawiązujące do dawnego stylu klasycznej muzyki włoskiej. Nic też dziwnego, że współcześni nazywali go „polskim Palestrinim”. Wnet też zajął się ks. Surzyński poprawą bytu materialnego organistów i sprawą podniesienia poziomu ich fachowości. Tym dwóm celom miało służyć powstałe w 1882 r. z inicjatywy ks. Surzyńskiego Towarzystwo Organistów pod wezwaniem św. Wojciecha. Jako naczelne hasło Towarzystwo postawiło jednak nie co innego, a tylko odnowienie muzyki kościelnej w Polsce w duchu liturgii Kościoła.

Równocześnie z działalnością kompozytorską i organizacyjną zaczął ks. Surzyński rozwijać również szeroką działalność wydawniczą. Ukazały się jego pierwsze książki, dotyczące zagadnień muzyki kościelnej, popularne podręczniki muzyczne, wydawnictwo nowego kancjonału, pieśni kościelnych dla wiernych oraz liczne artykuły. Jego też dziełem i wiekopomną zasługą jest wydawnictwo sławnych „Monumenta musices sacrae in Polonia”, zawierające kompozycje religijne dawnej muzyki polskiej (XVI i XVII w.). Umiął bowiem ks. Surzyński wyszukać z różnych archiwów i bibliotek te prawdziwe skarby naszej dawnej kultury muzycznej, które uległy zapomnieniu i dzięki jego tylko staraniom zostały odkryte. Wydawnictwo tych wspaniałych kompozycji muzycznych oraz studia krytyczne nad nimi ks. Surzyńskiego pozwalają nam jeszcze pełniej ocenić wysoką kulturę duchową naszych przodków.

W 1884 r. ks. Surzyński obejmuje redakcję czasopisma „Muzyka kościelna”, którą sam nieprzerwanie prowadzi aż do r. 1894, kiedy to zostaje proboszczem w Kościanie. Większość prac zamieszczonych w tym czasopiśmie wyszło z pod pióra ks. Surzyńskiego. Miało ono wielkie znaczenie dla reformy muzyki kościelnej w Polsce, wychowywało bowiem nowych kompozytorów kościelnych, dyrygentów i organistów, in-

formowało społeczeństwo o rozwoju muzyki kościelnej na zachodzie Europy i zaznaczało je z liturgią Kościoła. Stałe dodatki nutowe do każdego numeru służyły wielką pomocą dla licznych chórów kościelnych i wychowywały je jednocześnie w duchu reformy. W ten sposób dzięki żmudnemu wysiłkowi i wytrwałej pracy ks. Surzyńskiego dzieło odnowienia muzyki kościelnej w Polsce postępowało krok za krokiem, by wreszcie ugruntować się w całym kraju, przyniknąć do świadomości kapłanów i wiernych, stać się czymś w pełni naturalnym i zrozumiałym.

Od 1894 roku aż po dzień śmierci 5 marca 1919 r. przebywał ks. dr Surzyński jako proboszcz w Kościanie. Współcześni szanowali go bardzo, powierzając mu nieraz zaszczytny obowiązek reprezentowania muzyki polskiej zagranicą. Mimo licznych zajęć nie ustawał też ks. Surzyński nadal w pracy nad muzyką. Jako kapłan był on wzorem pobożności i gorliwego spełniania wszelkich obowiązków duszpasterskich. Umiął podnieść poziom życia religijnego w swojej parafii, stworzył doskonały chór, nauczył też wszystkich wiernych pięknie śpiewać pieśni nabożne. Zachęcał lud do częstego przystępowania do Stołu Pańskiego i adoracji Najświętszego Sakramentu. Rozwijał usilnie życie społeczne, zakładał nowe pożyteczne organizacje i bractwa kościelne. Słowem był czynny również i na polu działalności kapłańskiej do końca swego pracowitego żywota.

Niech więc to krótkie zobrazowanie działalności ks. dr. Surzyńskiego i przypomnienie o nim jednocześnie będzie skromnym wyrazem hołdu, jakie składa współczesne pokolenie polskie wielkiemu reformatorowi muzyki kościelnej w Polsce w 100-lecie jego urodzin.

(sk)

DAR RADY

(Dokończenie ze str. 137)

trzeba też zapominać o cierpieniu, jakie on powoduje; i tu modlitwa żalu zamienia się w modlitwę litości. Piękno świata jest spustoszone, czystość splamiona, radość zgaszona, harmonia zniszczona — to wszystko przez grzech: jest to częściowo naszą winą, a przynajmniej powinniśmy się modlić z żalem, aby do pewnego stopnia odrobić zło, i aby ziemia mogła się odnowić. Nie możemy nigdy powrócić do raju ziemskiego; pewne rzeczy nie zmieniają się, choćby ziemia i nasze na niej życie istniały jeszcze tysiące lat; przynajmniej więc ból swój możemy obrócić w troskę miłosną i modlitwę żalu, zwiększając przez to nieco odnowione uświęcenie, błogostawieństwo i radość świata.

„Kto jest sługą moim, niech idzie za Mną; gdzie Ja jest, tam i sługa mój będzie”. Chcąc służyć boskiej litości, trzeba iść za Chrystusem przez swój ból. A gdzie On będzie? Tam, gdzie potrzeba współczucia i dobrej rady. Będzie w zaułkach świata, w których jest brud i nędra, cierpienie, głupota i zło. A jak można iść za nim? Znajac słabość ludzką i bolejąc, będąc napełnionym poczuciem własnej winy, jak On był pełen poczucia winy świata. Lecz używając swej zdolności do pójścia za Nim wszędzie, i służąc w ten sposób Jego litości, człowiek sam otrzymuje litość, a dając dobrą radę, sam mądrzeje, lecząc innych, sam się leczy; smutek jego i żal przyniesie litość i radość jemu samemu w najszerszym tego słowa znaczeniu: w unii z całym światem, którego jest częścią, tak że pozna zbawczą moc litości; bo w odnowie duszy przez Chrystusa pozna kiedyś jako część tego światowego procesu, przez który wszechmocna litość odnawia wszystko.

Ołtarz — niewolnik w pełni swej krasy

(Korespondencja z Krakowa).

Dziwne są i jakże godne największego współczucia dzieje Polaka, a jednocześnie najgenialniejszego artysty, jakiego zna historia sztuki. Zaproszony do Norymbergi w celu wykonania prac, później z zazdrości fałszywie oskarżony i wtrącony do więzienia, przy czym został nieludzko zasądzony na wypalenie policzek wskutek czego oślepił. W tym też mieście sromotnie prześladowany zakończył życie, mając lat 95. Na powrót do Polski mu nie pozwolono, choć tego bardzo gorąco pragnął. A przecież nie gdzie indziej, jeno w tym rodzinnym kraju nad Wisłą u stóp Wawelu, istniały warunki, w których rozwinął się i zabłysnął niepospolity talent **Wita Stwosza**. Tutaj w Krakowie umożliwiono artyście wznieście się na szczyty sztuki, przez zamówienie u niego ołtarza do mieszczkańskiej świątyni, a po wykonaniu tegoż, zwolniono go od podatków do końca życia, za „cnotę i sztukę”, jak czytamy w miejskich księgach z tego czasu.

Nie było wtedy poczt ani kolei. Rozmaitymi sposobami musiał się arcy mistrz dowiadywać o materiały, różnymi drogami do nich docierać, wyszukiwać i jeździć po nie. Tak samo było z rozmaitymi barwnikami, które Stwosz otrzymywał od współczesnych mu lekarzy, którzy w tym czasie byli bardzo bliscy artystom. Takie panowały wówczas stosunki i zwyczaje, więc inaczej być nie mogły.

Nie wiemy jaki warsztat posiadał ten mistrz nad mistrze, ale domyślać się można, że urządzenie jego i oświetlenie, nie mogło dorównywać pracowniom dzisiejszych artystów rzeźbiarzy.

O narzędziach, którymi się teraz rzemiosła i artyści posługują, nie mógł nawet marzyć ówczesny twórca. Prócz tego narzędzi było wtedy bardzo mało, a te którymi pracował, wykonywał po części sam, lub kazał robić według własnych pomysłów. Pędzle do kleju, były pewno z kory lipowej, a do farb, z wiewiórczych ogonków. Klej wyrabiał sobie rzemieślnik-artysta sam ze świeżych skórek króliczych i takim też był cały ołtarz pociągnięty (zapuszczony), przed rozpoczęciem polichromii. Kreda użyta do tego celu, także była zmieszana z króliczym klejem. Warstwa stwoszowskiej polichromii, nie była grubsza niż przeciętny papier pakunkowy. Natomiast złoto było grubsze od teraźniejszego, które kupuje się w postaci cieniutkich bibulek, mających za opakowanie odpowiednie książeczki. Farby właściwych kolorów, po wyschnięciu i wyglądzeniu, były nakładane jedna na drugą, przez co artysta uzyskiwał jeden wspólny kolor, wydobywający się pod wpływem promieni słonecznych. Najlepiej to można zaobserwować na żyłach nóg i rąk.

Użycie przez Stwosza srebra, wzbogaciło kolorystycznie jego dzieło: Ołtarz Mariacki. Wspaniałą gamę barw, olśniewającą oczy, zmieniły wieki i warunki atmosferyczne w kościele.

Arcydzieło Wita Stwosza, jest najlepszym przykładem jak ówczesne rzemiosła stały wysoko. Sztuka rzemieślnicza nie była nigdy przed tym na takiej wyżynie, ani też opanowanie rękodzieła nie zostało doścignione z naszymi czasami włącznie.

Ołtarz Mariacki kosztował 2808 Florenów, co równało się jednorocznemu budżetowi (wydatkom na administrację) miasta Krakowa. Na ołtarz złożyły się składki mieszczan i ludu. Pierwszą znaczącą ofiarę

złożył w 1473 roku niejaki Maciej Opoczko, a w 3 lata później drugą ofiarodawczynią była Dorota Świecznicza.

Wykonanie ołtarza rozpoczął Wit Stwosz 5 maja 1477, a ukończył 1489 r. Był on w tym czasie starszym cechu, którą to godność piastował przez 5 lat.

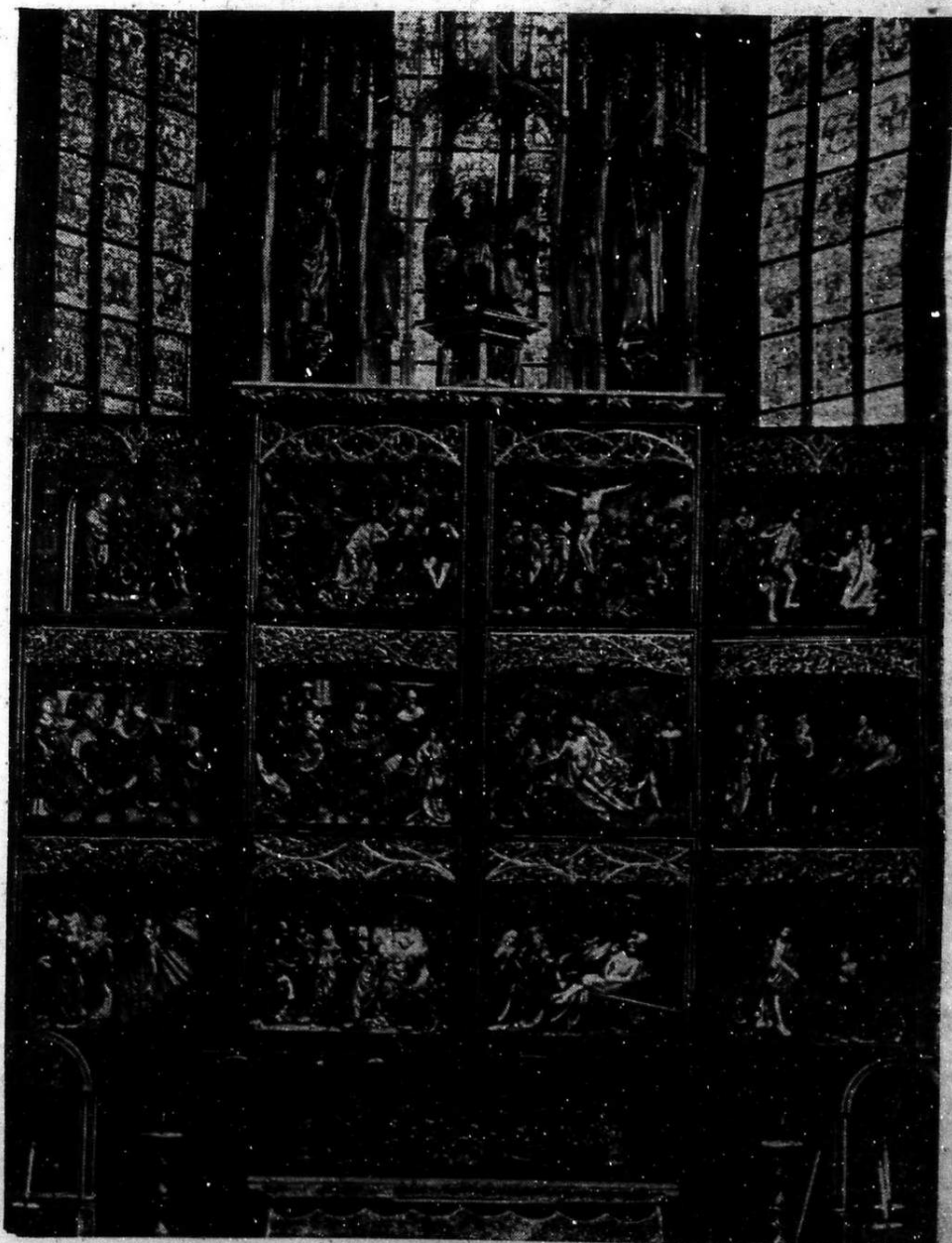
Największe postacie 2 metry 80 centymetrów wysokości, są w scenie zaślubin Matki Boskiej. Stwosz wykonywał je przeważnie z jednego kawałka drewna, za wyjątkiem fałdu sukni św. Jana. Niektóre rzeźby aniołów o fantazyjnie wprost rozwiniętych kształtach, wynikły prawdopodobnie z pni o bardzo dużej średnicy, które artysta posiadał.

Trud genialnego mistrza i jego współpracowników trwający 12 lat, zadziwia i urzeka widzów wspaniałością oraz nie spotykanym kunsztem. Można to arcydzieło ujrzyć dziś i rozkoszować się nim w pełni, po pieczołowicie dokonanym odsłonięciu dawnego jego wyglądu.

Obecne odnawianie ołtarza dłuta Wita Stwosza, jest prawdopodobnie piąte z rzędu i miało zupełnie inny charakter, niż wszystkie poprzednie. Rozpoczęte w 1946 r. zaraz

po przywiezieniu arcydzieła z niewoli hitlerowskiej, która miała miejsce w podziemiach zamku w Norymberdze, ukończone zostało w grudniu 1949 roku. W mieście tym dziwnym zbiegiem okoliczności więziony był kilka wieków temu jego twórca Wit Stwosz.

Odnawianie poprzedziły liczne konferencje i debaty różnych specjalistów i artystów z naukowcami z wielu dziedzin, a wszystko po to, aby ołtarzowi zapewnić dalszą długowieczność. Zapadła więc decyzja, żeby arcydzieło Wita Stwosza przywrócić dawną szatę, blask i urok. W tym celu trzeba było dokonać usunięcia nagromadzonego przez wiele lat kurzu, brudu i kopcia świecowego i we wcześniejszych odnawianach nakładanych farb i pozłótek, czego dokonano sposobami: chemicznym i mechanicznym. Tak mozolnie odczyszczono miliony centymetrów kwadratowych rzeźb. Wiele pracy i trudu pochłonęło badanie, jak daleko posunął swą niszczytelką robotę owad kołatek, a następnie przystąpiono do nowoczesnej operacji, czyli do robienia zastrzyków. Wstrzykiwano w ma-
lutkie dziureczki wywiercone przez owada



plyn, składający się z żywicy rozpuszczonej w spirytusie z domieszką arseniku, którym wypełniono otworki i kanałiki. Dzięki tym zastrzykom, niezwykłe drzewo lipowe uczyniono żywicznym i co najważniejsza, zamknięto dostęp robocztwu do drewna, z jakiego są wykonane rzeźby stwoszowskie. Równocześnie procesem tym, została wzmocniona tkanka nadwątlonego materiału.

Zniszczenia dokonane przez Kołatka, uwidocznione są w znakomicie zrobionym małym tryptyku (takim samym ołtarzu trzyskrzydłowym tylko w pewnej skali wykonanym), na którym umiejętnie pokazano również konserwację arcydzieła dawniejsze i obecne. Części konstrukcji drewnianej ołtarza pomalowano warstwą minii, chroniącą znakomicie materiał drzewny, przed ponownym zaatakowaniem insektów.

Praca konserwatorska trwała 4 lata. Zajętych było przy niej 33 osoby, a to: stolarze, pozłotnicy, malarze, rzeźbiarze, studenci Akademii Sztuk Pięknych, konserwatorzy i pracownicy fizyczni. Pracowali oni razem 64.820 godzin. Umieszczone są też ich nazwiska na osobnej tablicy. Są już w listach plac, znajdując się z kolei w kronikach i tym samym przejdą do historii. Nielada zaszczyt spotkać tych ludzi, wielu z nas może im tego zazdrościć. W tej ilości czasu zużytego na konserwację, są tylko zestawione godziny robocze ujęte listami płacy, natomiast nie są wliczone tysiące godzin kierownika konserwacji profesora M. Słonieckiego.

Pracownicy konserwatorscy byli wprawiani w podziw i nietajony zachwyt dla wielkości pracy twórczej W. Stwosza, jego umiejętności, sumienności, precyzji, rzetelności i doskonałości. Olsnieni byli tym, co napotykali przy doprowadzaniu dzieła do pierwotnej jego świetności. To co przeżywali ci pracownicy, mogą się tym napawać teraz przy oglądaniu, zwiedzając wystawę Ołtarza Mariackiego. Przez wystawę tę można się z bliska przyjrzeć wszystkim szczegółom uzbrojenia żołnierzy w scenie pojmania Chrystusa Pana, w którym każdy nit subtelnie został w drewnie opracowany, a tło obrazu, wypełnione roślinnością. Pej-

zaż sceny ukrzyżowania Pana Jezusa rzeźbi drzewostan i fragment architektury. W pokłonie Trzech Króli podziwiać trzeba ubiory i uprząż, która ludzkość przypomina rzeźmień, a jest z drewna. Ciekawe naczynia w hołdzie Trzech Króli oraz sprzęt domowy oglądamy w scenie Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. W zmartwychwstaniu Pańskim, będącym zapowiedzią naszego powstania z grobu, zainteresują ubiory żołnierzy, uzbrojonych w łuki, topory itp. W ogóle w akcjach pełnych życia i ruchu, modystki, krawcy, szewcy, rusznikarze i fryzjerzy, znajdują wiele ciekawych wzorów.

A czy nie zachwycają widza różnego rodzaju zwierzęta? Weźmy dla przykładu — owieczki skubiące trawę, wspinające się po górach w przedstawieniu Bożego Narodzenia, a także w rzeźbie Joachima i Anny oraz pejzaże tych obrazów. A koszyczek w którym leży nowonarodzone dziecko, każdy myśli, że z wikliny upleciony, a to rzeźba lipowa. Tą drobiazgową i najprecyzyjniejszą robotą arcymistrza, ma się dziś przed oczyma. Po zamknięciu wystawy, zniknął ze wszystkich prawdziwie cacka sztuki rzeźbiarskiej i malarskiej, z których tutaj znikomą ilość przytoczono. Bo można by tomy pisać o wspaniałych realistycznych pozach dziesiątek figur, które staną się mało lub wcale niewidoczne, gdy znajdą się na wysokości swego przeznaczenia. Skoro ołtarz zostanie przeniesiony do świątyni Mariackiej i ustawiony na swoim miejscu, czarujące, arcypiękne prace mistrzowsko oddane, staną się dla widza niedostrzegalne.

Korzystajcie przeto z jedynej okazji, jaka się naszemu pokoleniu nadarzyła: raz na pół tysiąca lat! Przyjeżdżajcie do Krakowa póki czas! Korzystajcie ze sposobności jaką was los obdarzył. Chojnie wam się to opłaci. Pamiątką z tego zwiedzenia może być duży album 30×40 cm z 40-ma kolorowymi i 166 zdjęciami drukowany w Krakowie.

Uwaga: Proszę zapamiętać jedyną osobność w zamku królewskim na Wawelu gdzie wystawiono na widok publiczny **Ołtarz Mariacki**, dzieło artysty Polaka **WITA STWOSZA**.

Po co istnieje małżeństwo?

Małżeństwo jest dawne jak świat jak ludzkość. Na co bowiem istnieją dwa rodzaje ludzkie: męski, żeński? Oczywiście na to, aby z ich połączenia powstało nowe życie, powstał nowy człowiek.

Ale to jeszcze nie wystarczy. Człowiek bowiem, chociaż jest koroną stworzeń, jest mimo to z wszystkich stworzeń ziemskich najnieodolniejszym. Kurcze, zaledwie wyszło z jajka, już chodzi na własnych nogach, szukając sobie pożywienia. A człowiek? Człowiekowi potrzeba lat kilkunastu i więcej zanim się odchowuje i wychowa, zanim stanie się istotą samodzielną. Co z tego wynika? Oto to, że nie wystarczy urodzić dziecko, trzeba je także wychować. Jest to główny i zasadniczy cel małżeństwa, na to ono istnieje.

Gdyby więc narzeczeni przed ślubem powiedzieli sobie: Pobierzemy się dla wzajemnej miłości, lub dla łatwiejszego gospodarowania, ale dzieci nie chcemy za żadną cenę i wykluczamy je stanowczo z naszego związku, wtedy związek ich nie byłby żadnym małżeństwem, byłby nieważny wobec Boga i sumienia. Tak nam mówi

rozum, tak nam mówi prawo przyrodzone oparte na naturze ludzkiej.

Prawo przyrodzone ma zastosowanie swoje także w świecie zwierzęcym. Weźmy jako przykład słowika. Gdy rozpoczyna się wiosna, para słowicza buduje sobie najpierw gniazdko, trudno bowiem wyobrazić sobie prawdziwe małżeństwo bez dobrego, własnego kąta. Potem samiczka składa jajka i wysiaduje je. W tym czasie słowik nie lata za innymi ptakami, ale zbiera skrzętnie pożywienie dla swej rodziny, pilnuje gniazdko wiecznie i wytrwale, a małżonkę swej, aby jej się nie nudziło, wypiewkuje najcudowniejsze pieśni. I trwa to wszystko tak długo, aż ostatnie pisklątę się wychowa i na własnych skrzydłach wyfrunie w świat. Tak oto działa prawo przyrodnicze u nierozumnych stworzeń. Nie jest to jeszcze wrzuszający przykład dla wielu ludzi, którzy, zaślepieni, namiętnością wyłamują się z ram tego prawa.

O celach małżeństwa mówi nam prawo przyrodzone, mówi nam także prawo objawione, mówi nam Pismo św. już na pierwszych stronicach swoich. Oto słowa Boże, skierowane do pierwszych rodziców: „Rośnijcie i mnożcie się i napełniajcie ziemię”. Rzekł też sam Bóg: „Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczynimy mu pomoc jemu podobną”. I stworzył Pan Bóg Ewę,

a z tej pierwszej pary małżeńskiej wywodzi się cały rodzaj ludzki.

Dziecko jest głównym celem małżeństwa, ale nie jest celem jedynym; istnieją jeszcze cele inne. „Niedobrze jest człowiekowi samemu na świecie”. Mężczyzna i kobieta łączą się w trwałą, dożgonny związek, aby być sobie wzajemnie pomocą i oparciem, tak materialnym, jak i duchowym.

Oparcie materialne! Łatwiej gospodaruje się wspólnie, aniżeli samemu. Potwierdził to bajdy stary kawaler. „Małżeństwo jest jakoby małym państwem. W państwie tym mąż jest premierem, jest ministrem spraw zewnętrznych, obrony, finansów; żona zaś jest jakoby ministrem spraw wewnętrznych, zdrowia, wychowania, gospodarki domowej. Na zgodnej ich pracy opiera się byt rodziny.

Oparcie duchowe! Jak to miło, gdy człowiek ma przy sobie osobę bliską, z którą może porozmawiać, radzić się w wątpliwościach, zwierzać się z smutków i radości życia. Taka wspólnota jest dla człowieka źródłem prawdziwego szczęścia.

Ponadto jest małżeństwo jakoby lekarstwem, które uśmierza wrodzone człowiekowi pragnienia. W pewnym wieku bowiem budzą się w człowieku tęsknoty miłosne, na pół duchowe, na pół zmysłowe. Oto małżeństwo jest na to, aby te tęsknoty w godziwy sposób zaspokoić przez najściślejszą łączność duchową i fizyczną męża i żony. Łączność taka poza małżeństwem prowadzi do grzechu, hańby, chorób i zwyrodnienia. Ta sama łączność w małżeństwie jest źródłem szczęścia rodzinnego i cnót rodzinnych, jest źródłem nowego życia. Miłość małżeńska nie tylko że nie jest grzechem, ale może być nawet zasługą i służy przeciw wielkim i świętym celom Stwórcy.

Istnieje jeszcze szereg innych pobudek, mniej lub więcej szlachetnych, dla których ludzie zawierają małżeństwa.

Wielu żeni się — jak to się mówi — z rozsądku, dla względów praktycznych. On chce mieć gospodynię, towarzyszkę pracy na roli, w polu lub rzemiośle; ona nie chce być starą panną, chce mieć własny dom. Co powiemy o takich praktycznych małżeństwach? Nikt nie pochwali mężczyzny, który żeni się jedynie i wyłącznie dla posagu. Nikt też nie pochwali panny, która dla pieniędzy bierze sobie męża starego, schorzałego, do którego — być może — czuje nawet wstręt. Brzydka to rzecz i niegodna! Poza tym jednak małżeństwo z rozsądku może być bardzo szczęśliwe, o ile tylko on i ona są ludźmi dobrymi i szlachetnymi. Nieraz już bywało, że tacy małżonkowie z biegiem czasu pokochali się miłością szczerą i gorącą. Łatwiej zbudować trwałą gmach szczęścia na solidnym fundamencie znacznych charakterów, aniżeli na płomiennych, lecz słomianych uczuciach.

Najczęściej ludzie żenią się z miłości. Jest to rzecz piękna i naturalna. Czym jest wiosna w przyrodzie tym jest miłość w życiu człowieka. Ale miłość miłości nie jest równa. Chyba, że młodzi zakochają się na śmierć, bez opamiętania. Ogarnia ich jakieś dziwne zaślepienie. Na nic serdeczne i życiowe rady, na nic głos rozsądku, i sumienia. Jak cmy do ognia, tak oni lecą i gubią się w płomiennych namiętności, nie widząc, że wysniony anioł jest zwykłą gąską, że rycerz i bohater jest zwykłym urodzicielem lub brutalnym. Dopiero gdy żar namiętności się wypali, przynajmniej swoją omyłkę. Ale wtedy zwykle już za późno.

Miłość winna być rozsądna, winna mieć oczy otwarte nie tylko na dobre, ale i na ujemne strony narzeczonego, narzeczonej. Winna rozważyć jakim on jest synem, bratem; jaką ona jest córką siostrą; i jakie

(Dokończenie na str. 144)

SPÓR O TRZECH ŚWIĘTYCH

Tadek Szczerba nie zbierał znaczków pocztowych, nie chodził na mecze piłki nożnej, ani nie interesował się pannami. Miał jednak dwie namiętności: czytanie powieści awanturniczo-podróżniczych Karola May'a, co mu w naszej klasie dało rozgłos znawcy życia Indian — oraz hodowanie pomidorów. Indianie i pomidory były też jedynymi tematami, na które można było z nim mówić. Od nich też zyskał w klasie przezwisko „Indianina” oraz „Pomidora”. W starszych klasach „Indianin” jakoś zbladł i stracił atrakcyjność, ale „Pomidor” został przy Tadku do matury.

Z każdej jesieni miał Tadek zachowane nasiona własnego chowu, które już w lutym wysiewał do skrzyni z czarną, dobrze przyprawioną ziemią. Skrzynię tę wystawiał na oknie do słońca i co dzień na nią chuchał, żeby się w niej zazieleniło jak najprędzej. Za to w maju rozporządzał około 200 młodymi sadzonkami, których sam spotrzebować nie mógł, ponieważ dysponował tylko jedną grządką — w cudzym ogródku. Mieszkał bowiem na „stacji”, a pochodził z kieleckiego, gdzie rodzice jego mieli parę mórg pola — ale „ku jego rozpacz” nie sadzili i nie doceniali pomidorów.

Toteż w maju sprzedawał Tadek kolegom większą część swoich sadzonek. Wyśmiewano go, ale zarabiano się też jego zapalem hodowlanym. „Pomidor” odwiedzał kolegów, którzy mieli ogródki, i własnoręcznie zasadzał im wyhodowane przez siebie roślinki, nie pozwalając ich nikomu dotykać. Tym zaś, co ogródków nie mieli, ofiarował się zasadzić pomidory w doniczkach na balkonie lub w oknie.

Raz — pamiętam — spotkałem się z Tadekiem Szczerbą na nabożeństwie majowym. Było to jakoś z początkiem miesiąca. Wróciliśmy razem i oczywiście — rozmowa nasza zeszła na pomidory. Wysłuchałem jego wykładu o różnych ich odmianach, po czym zaproponowałem, by sprzedał kilka sadzonek mojej matce.

— Do ogródka czy do doniczki? — zapytał.
— To obojętne! — odparłem, bo wstyd mnie było, że ogródka nie mamy, a planowaną hodowlę mogła się u nas odbywać jedynie na tylnym balkonie przy kuchni.

— To nie jest wszystko jedno! — oburzył się Tadek. — Do doniczek w pokoju mogę ci dać już dziś, ale do ogródka — dopiero po świętych ogrodnikach.

— Jacy znów święci ogrodnicy?
— Jak można tego nie wiedzieć! Przecież Pankracy, Serwacy i Bonifacy!

— Kto cię tak nabujał? Żaden z tych świętych nie był ogrodnikiem! To są tylko „zimni święci”, którzy patronują wiosennym przymrozkom!

— To ciebie nabujał! — upierał się „Pomidor”. — Mróz patronów nie potrzebuje. W naszych stronach wszyscy wiedzą, że to byli ogrodnicy, którzy do dziś ostrzegają rolników, by się z sadzeniem delikatnych warzyw nie spieszyli.

— Co mnie obchodzi wasze ciemne strony! — podjąłem spór, nie zdając sobie wówczas sprawy, że przemawia przeze mnie ciasny patriotyzm dzielnicowy. — Tu jest stolica wiedzy, uniwersytet, tu wiedza lepiej!

Spór zaostriżył się, poparty gestykulacją i podniesionymi głosami, aż ludzie zaczęli się za nami oglądać na ulicy. Niestety jednak, i mnie i Tadekowi brakło wkrótce argumentów. Nie wystarczyło bowiem upierać się, czy trzej święci byli za życia ogrodnikami, czy nie. Trzeba było wskazać, kim oni byli na prawdę.

O Pankracym wiedziałem, że był ważną postacią w „Niebieskiej komedii” Krasieńskiego, ale nie byłem pewny, czy postać ta miała coś wspólnego ze świętym z kalendarza. Jako uczeń gimnazjum klasycznego,

co liźnął nieco greki, tłumaczyłem sobie imię Pankracy (pan — wszystko, kratoe — władam) jako „Wszehwładnego”, co mogło pasować chyba do cesarza Bizancjum. O Serwacym nie wiedziałem nic, prócz tego, że na pewno imię jego nie mogło się wywodzić z polskiej serwatki, bo święty ten nie był Polakiem. Gdyby zaś miał coś wspólnego z niewolnikiem (servus), to wspominać o tym przy Tadku było niebezpiecznie, bo by to uznał za potwierdzenie, że św. Serwacy był jednak ogrodnikiem. Natomiast pewną i mocną pozycją wydał mi się św. Bonifacy. Uczyliśmy się przecież, że był tego imienia biskup i apostoł Niemiec, którego grób znajduje się w Fuldzie. Myślałem, że Tadek tym przygwoździ, ale uparty „Pomidor” twierdził, że i biskup mógł być ogrodnikiem.

Rozeszliśmy się w niezgodzie, zapomniawszy zupełnie o zamierzonej transakcji z sadzonkami.

Nazajutrz w szkole, na samym początku lekcji religii, Tadek Szczerba podniósł dwa palce do góry.

— Czego chcesz? — zapytał ksiądz katecheta.

— Proszę księdza, kolega G. nie wierzy, że Pankracy, Serwacy i Bonifacy byli ogrodnikami, ale twierdzi, że Pankracy był cesarzem Bizancjum, a Bonifacy jako biskup nie mógł być równocześnie ogrodnikiem.



WSZYSTKIM CZYTELNIKOM, PRZYJACIOŁOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM „TYGODNIKA KATOLICKIEGO”

SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
PRZESYŁA REDAKCJA

— Ani sadzić pomidorów! dorzucił ktoś z tyłu.

Cała klasa ryknęła śmiechem, a Tadek i ja zacerwieniliśmy się po uszy. Ksiądz katecheta zrobił groźną minę, żeby nas uciszyć, lecz sam nie mógł opanować drżenia w kątach ust.

— Zeszło się dwóch uczonych! — zagderał poważnie, ale po ojcowsku. — Klócili się, dobierali się wzajemnie do skóry, choć żaden z nich nic nie wiedział i żaden nie miał racji.

Oczywiście lekcja zmieniła się w wykład o trzech „zimnych” świętych. Ks. katecheta miał szczęściem w swej teczce wielkie tomisko z żywotami, po francusku wprawdzie, ale było mu tam zająrzeć, by odświeżyć sobie w pamięci szczegóły i nam do wiadomości podać.

Dowiedzieliśmy się wtedy, że Pankracy nie był ogrodnikiem, ale nie był też cesarzem Bizancjum. Pochodził jednak z Azji Mniejszej, skąd po stracie obojga rodziców zabrał go wuj Dionizjusz na studia do Rzymu. Było to u schyłku rządów cesarza Dioklecjana, który podjął ostatnią próbę zniszczenia chrześcijaństwa. Gdy wuj Dionizjusz niebawem umarł, sam cesarz chciał wziąć chłopca na wychowanie. Ale Pankracy oparł się pokusie zostania na cesarskim dworze. Będąc sam jeden na świecie, dzielił odtąd los ukrywających się przed łapankami chrześcijan, między których rozdał przywieziony z domu rodzinny majątek. Jeden z kolegów wydał go siepaczmom cesarza. Czternastoletni zaledwie Pankracy został ścięty na Via Aurelia w 304 r. jako zdradca i wróg „boskiego” Dioklecjana. Na miejscu jego stracenia wzniesiono później bazylikę. Był to jeden z najmłodszych świętych.

— Czytaliście „Fabiola”? — przerwał ksiądz swój wykład nagłym zapytaniem. — Nie wiecie nawet, co to jest? Powieść angielskiego kardynała Wisemana, podobna do „Quo vadis”. Jednym z jej bohaterów jest właśnie młody Pankracy.

Przyrzekliśmy przeczytać, bo powieść istniała w polskim przekładzie.

Potem była mowa o Serwacym. I ten nie miał nic wspólnego z ogrodnictwem, a także nie wywodził się z niewolnika. Całe szczęście, że wobec Tadeka przemilczałem tego świętego, bo byłaby jedna wyśpa więcej. Był to biskup z Tongern w Belgii, który zasłynął na licznych synodach jako przeciwnik herezji Ariusza, oraz jako podróznik, który jeździł do Rzymu, Ziemi świętej i Egiptu, gdzie się spotykał z św. Atanazym. Przez pół wieku apostołował nad Mozą. W czasie najazdu Hunnów na Europę wezwał swych wiernych do pokuty i przeniósł swoją siedzibę z Tongern do Maastricht w dzisiejszej Holandii. Tam też umarł 13 maja 384 roku.

Okazało się, że byłem w błędzie nawet co do Bonifacego. Ów „zimny” Bonifacy z 14 maja nie był identyczny z biskupem i apostołem Niemiec, którego dzień przypada 5 czerwca. „Zimny” Bonifacy był zarządcą dóbr bogatej i dumnej Rzymianki Aglaj, z którą przez wiele lat żył w grzechu nieczystym. Ze jednak miał zawsze łitość dla ubogich, nie dał mu Pan Bóg zgubić duszy. Aglaja ocknęła się pierwsza i skłoniła swego zarządcę do pokutnej pielgrzymki. Bonifacy udał się do Tarsu w Cylicji, ojczyzny Pawła-Apostoła. Tam jednak zaskoczyły go diokleciańskie edykty przeciw chrześcijanom. Pochwycony przez ich wykonawców, poniósł śmierć męczeńską w 303 roku. On jeden z tych trzech świętych mógł jako zarządca dóbr mieć coś do czynienia z ogrodnictwem. Ale tylko pośrednio.

Opowiadane przez księdza żywota zajęły nas bardzo, lecz nie dały wyjaśnienia, jaki związek mają ci święci z pogodą w połowie maja.

— Żadnego! — odparł zdecydowanie katecheta. — Nie ma tu nic więcej nad zwykłe sprostereżenia ludowe, które zawarte są w licznych przysłowiaach o pogodzie. Zresztą określenie tych trzech świętych jako „zimnych” poza środkową Europą nie jest znane, bo w krajach morza Śródziemnego, nad Atlantyką i w tyłu innych stronach świata przymrozki w maju nie występują. Nie widzę powodu, by Pankracy, Serwacy i Bonifacy patronować mieli tylko naszym chłodom, kiedy w tych stronach nigdy za życia nie byli.

„Pomidor” i ja wyszliśmy z tej lekcji z dość głupimi minami.

Najciekawsze zaś było to, że pogoda w połowie maja ustaliła się owego roku słoneczna i ciepło było jak w lecie. K. Gołba.

WIELKA OFENSYWA KULTURALNA

Nawet najbardziej wrogo nastawiony do dzisiejszej naszej rzeczywistości człowiek nie mógłby zaprzeczyć tysiącom olbrzymich, niespotykanych dotąd w takiej skali dokonań, jakie przyniosły nam lata minione od chwili wyzwolenia z pod hitlerowskiego ucisku. Między innymi nie mógłby zaprzeczyć zasadniczym zmianom w naszej polityce kulturalnej.

Stwierdził przed wszystkim jedno: zmianie kompletnej uległa kierunkowa naszego oddziaływania kulturalnego i jej zasięg. O ile poprzednio dobra kulturalna, możliwości oświatowe itp. należały mniej z zasady, więcej z fałszywego układu stosunków ekonomicznych jedynie do bardzo wąskiego grona tych, którzy mieli odpowiednie możliwości materialne, o tyle teraz należą one rzeczywiście do całego narodu. Przedtem kulturę polską reprezentowali tylko nieliczni uprzywilejowani, dzisiaj reprezentują ją w takim lub innym stopniu, ale wszyscy.

Tak często słyszane przez nas słowa — upowszechnienie kultury i oświaty — to nie są hasła reklamowo-propagandowe, ale prawdziwa rzeczywistość, cel dążeń naszego państwa.

Zastanówmy się pobieżnie, dokonajmy takiego błyskawicznego przeglądu naszych osiągnięć w tych dziedzinach. Przyda się nam to w dniach „Oświaty, Książki i Prasy” między 3 a 15 maja bieżącego roku.

Sprawa podstawowa — analfabetyzm. Miliony analfabetów istniejące w Polsce przedwrześniowej były dla każdego myślącego Polaka plamą nie do zmycia. Charakterystyczne, iż ilość analfabetów zmniejszała się bardzo powoli, z roku na rok o ułamek procenta. Chociaż i z tym zmniejszaniem też nie było bardzo wyraźnie. Bo pojawiło się nowe zagadnienie tzw. powrotnego analfabetyzmu. Ludzie, którzy w młodym wieku posiadli sztukę pisania i czytania, przez brak kontaktu z piśmem, książką, z jakimś minimum życia kulturalnego — zatarli ją całkowicie. Dopiero teraz powzięta przez państwo stanowiąca walka z analfabetyzmem przynosi tak wspaniałe rezultaty, że za rok nie będzie w Polsce człowieka poniżej sześćdziesięciu lat, któryby nie umiał czytać i pisać. To jest olbrzymie osiągnięcie. Już samo ono wystarczyłoby za dowód największej troski o sprawę kultury i oświaty, nie mówiąc o innych. Ale to dopiero początek, podstawa niejako wyjściowa do dalszych zagadnień.

Tak naprzykład nie istnieje już obawa o tzw. powrotny analfabetyzm. Dlaczego? Dlatego, że obecnie nie istnieje już obawa, aby człowiek, który nauczył się czytać i pisać, pozbawiony został następnie kontaktu ze słowem pisanym i drukowanym. Tu dochodzimy do następnego wielkiego osiągnięcia naszego po wojnie.

Dzisiaj książka ukazuje się średnio w ilości 10 tysięcy egzemplarzy, przed wojną średni nakład wynosił tysiąc egzemplarzy. Ale mamy setki książek drukowanych w nakładach 100, 200, a nawet i milion egzemplarzy. Nakład „Pana Tadeusza” sięga już blisko dwóch milionów egzemplarzy.

Dalej. Książka stała się tania. Powstały Kluby książki, powstały dodatki książkowe dla prenumeratorów pism codziennych, powstał Komitet upowszechnienia Książki, który daje nam gustownie wydane, najcenniejsze pozycje literatury polskiej i światowej. Książka staje się nie luksusem, ale przedmiotem pierwszej potrzeby.

Wzrosła do niespotykanej ilości liczba bibliotek. Dziś już każda gmina, niemal każ-

da gromada, każda fabryka i ośrodek rolniczy szczyci się własną biblioteką.

Równolegle olbrzymie osiągnięcia mamy w dziedzinie oświaty. Posiadamy pełną sieć szkół podstawowych. Nikt nie może pozostać poza ich zasięgiem. Wzrosła liczba gimnazjów i liceów, nade wszystko zaś szkół średnich zawodowych, kształcących przyszłych inteligentnych fachowców w każdej dziedzinie życia. Uniwersytety przepełnione są studium młodzieżą. Możliwość nauki ma teraz każdy, kto tylko jej pragnie, albowiem nauka jest całkowicie bezpłatna. Koszta pokrywa w zupełności państwo. Jeszcze więcej jak połowie studentów udziela stypendiów zezwala, a w ten sposób młodzieży na spokojną naukę, bez szarpainy o utrzymanie.



Nadszedł świąteczny numer Tygodnika Katolickiego.

Jednocześnie z dnia na dzień rosną nowe, wspaniałe budynki szkolne, wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia. Rosną gmachy teatrów i kin. Plan sześćioletni przyniesie prawie każdej gromadzie wiejskiej własne kino stałe. Liczba teatrów w porównaniu do przedwojennej wzrosła prawie trzykrotnie. Organizuje się festiwale sztuk, uczące publiczność pełnego widzenia teatru jak np. Festiwal Szekspirowski. Festiwal sztuk radzieckich i obecnie odbywający się Festiwal Sztuk Współczesnych.

Muzyka otoczona została opieką. Wyrosły nowe konserwatoria, szkoła się w nich tysiące młodych, zdolnych muzyków. Nie będzie już więcej Janków Muzykantów, bo każdy uzdolniony w jakimkolwiek kierunku artystycznym młody człowiek ma z pewnością opiekę państwa, które czuwać będzie nad jego rozwojem.

Olbrzymi nacisk położony został na zapewnienie właściwych warunków pracy i rozwoju dla zespołów ludowych amatorskich, czy to teatralnych, czy śpiewu, muzyki lub tańca.

Autorzy książek jeżdżą do najdalszych zakątków kraju i w popularnych wieczorach autorskich zapoznają się ze swymi czytelnikami.

Trudno byłoby wyliczać wszystkie pozostałe osiągnięcia, jakie przyniosła nam wielka ofensywa kulturalna po wojnie. Zupełnie zmieniły się zarówno ilość jak i jakość odbiorców. Już nie elita, ale cały naród korzysta z dobrodziejstw kultury.

Urządzany corocznie obchód „Dni Oświaty, książki i prasy” ma właśnie na celu z jednej strony okazanie dotychczasowego dorobku, wszystkich wspaniałych osiągnięć,

z drugiej zaś strony ukazuje jeszcze istniejące braki w pracy dotychczasowej, aby je jak najrychlej można było naprawić. Dni oświaty są dniami dumy, ale są także i dniami krytyki. Ukazują drogę już przebytą, wytaczają dalszą, która jest jeszcze przed nami.

(E. P.)

POCO ISTNIEJE MAŁŻENSTWO?

(Dokończenie ze str. 142)

są wzajemne zamiłowania, dążenia, charaktery. „Aż do śmierci” — słowa te winny być przestrogą dla wszystkich zakochanych.

Miłość wyłącznie zmysłowa, fizyczna, na piękności ciała oparta, nie jest ani pewna, ani trwała. Zmysły męczą się i wyczerpują. Przekonaj się sam. Zjedz sobie rano, w południe, wieczorem kilka wspaniałych ciast z bitą śmietaną i powtarzaj tę próbę przez kilka tygodni, to ci w końcu te smakołyki tak spowszednieją, że odwrócisz je od siebie ze wstrętem. Podobnie ma się rzecz z rozkoszą zmysłową. Miną miodowe tygodnie, miesiące, ogień namiętności się wypali, i pozostaną tylko popioły i zgłiszczka. Łączność cielesna — to za mało, albowiem ciało przemija, a tylko duch trwa. Dlatego miłość przepoić trzeba duchem. Wymiana myśli i uczuć; wspólna lektura, pieśń, wycieczka; wspólna zabawa i modlitwa; przywiązanie do domu rodzinnego, do dziecka — oto pierwiastki, które zapewnią miłość i głębię, które ziemskie uczucie zmieniają na cnotę i zasługę dla wieczności.

Dr Z. B.



BOBROWICE, POW. KROSNO.

Parafia bobrowicka rozwija się i krzepnie. Dziś liczy około cztery tys. dusz, kościołów siedem. Nabożeństw każdej niedzieli jest trzy: w Bobrowicach suma, w kościołach filialnych na zmianę dwie inne Msze św.

Proboszczem parafii jest ks. Jan Zuk, z oddaniem pracujący dla parafii. Jest w Bobrowicach od 14. IV. 1949.

Kościół parafialny jest piękny. Gotyk o strzelistej z dala widocznej wieży. W początkach był ogołocony. Trzeba było wiele wysiłku i wiele wkładu ze strony parafian, aby doprowadzić go do stanu, w jakim znajduje się obecnie. Sprawiono do niego wiele rzeczy. Są nowe chorągwie, dwie figury, ornaty, przebudowano wielki ołtarz, oświetlono świątynię. Naprawiono organy, do kościoła filialnego kupiono fis-harmonię.

Największe wioski w parafii to: Janiszewice, Kosierz i Lubiałów. W Janiszewicach sprawiono do kościoła piękną figurę Matki Bożej z Lourdes.

Pierwszym proboszczem parafii był ks. Podejko Piotr. On kładł fundamenty pod religijne życie parafii. Po nim był ks. Hura Jarosław, następnie ks. Pasławski, poczym ks. Jan Niekarski, który zmarł w Bobrowicach, a wreszcie ostatni ks. Jan Zuk, obecny proboszcz parafii.

Życie religijne pogłębiły misje przeprowadzone przez Oblatów od 11 — 17 XII 1950 r. Odpust na Podwyższenie św. Krzyża.

(GG)

— **Historia kościoła w Świdwinie.** 1338 r. prawdopodobny rok powstania kościoła — pierwsza wzmianka o kościele Mariackim w Świdwinie. 1475 r. przybudowano boczne kaplice (zakrystię). 1505 r. pobudowano wieżę. 1538 r. z kościoła katolickiego zrobiono zbor ewangelicki i odtąd kazania wygłaszano w języku niemieckim. 1644 r. została wieża zniszczona przez uderzenie pioruna. 1689 r. — 16 kwietnia — spłonął kościół, pozostały tylko mury, w dniu tym spłonął cały Świdwin. 1692 r. odbudowano kościół. 1776 r. spłonęła wieża. 1881 r. gruntowny remont kościoła, w tym stanie przetrwał do 1945 r. 1946 r. początek prac nad odbudową kościoła. 1950 r. zakończenie odbudowy kościoła.

— **Szczecin — kościół dla inteligencji.** W pobliżu największego parafialnego kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa, znajduje się kościół dla inteligencji. Rektorem tego kościoła jest O. Siwek T. J.

Burza wojenna dokonała w nim wiele uszkodzeń. Trzeba było wiele sił, wiele uporu i wiele pieniędzy, by z ruin dwignąć świątynię i oddać ją w służbę Bogu i w służbę społeczeństwa. Pracy było wiele. Ale społeczeństwo szczecińskie nie jest biernie, umie pracować, umie dźwigać ruiny w górę, umie na gruzach budować nowe, silne życie.

Ofiarnością katolickiego społeczeństwa kościół odbudowano. Dziś jest świadectwem tężyzny życiowej Polaków i tężyzny ich wiary. Świątynię odbudowano, zbudowano nowy ołtarz główny, urządzono zakrystię.

Inteligencja w Szczecinie coraz bardziej garnie się do tego kościoła. Są tu nabożeństwa codziennie, w niedziele i święta są 4 Msze św., odbywają się tu kursy przedmałżeńskie, cieszą się dużą frekwencją. — O. Siwek ma wdzięczne pole do pracy.

(GG)

— **Słupsk — parafia św. Rodziny i św. Tadeusza.** Parafia powyższa powstała w październiku 1947 r. przez wydzielenie części miasta z parafii mariackiej. Największą trudnością była z kościołem, bo go nie było. Utworzono go z sali parafialnej, w której poczyniono pewne przeróbki.

Pierwszym proboszczem nowej parafii był ks. Jan Zieja, kapłan pełen gorliwości w służbie Bożej i zapatu. On to przystosował salę na kościół. Odremontował także budynek na plebanie, który był dosyć zniszczony. Ks. Jan Zieja postawił w nowym kościółku trzy drewniane ołtarze, ławki, urządził zakrystię i parafia zaczęła pracować. Pierwszy proboszcz parafii nowopowstałej odszedł w kwietniu 1949 r., zostawiając po sobie dobre wspomnienia u wiernych.

Na jego miejsce przyszli XX. Salezianie, obejmując duszpasterską pracę w parafii 1 września 1949. W międzyczasie po odejściu ks. Zieji a przybyciu XX. Salezjanów obsługiwał parafię ks. dziek. Chmielewski. Nowym proboszczem został ks. Krajewski, pracuje dotąd, mając do pomocy jeszcze jednego kapłana. Nowy proboszcz prowadzi prace zaczęte przez ks. Zieję z oddaniem. Przebudowano prezbiterium, zbudowano nowy główny ołtarz, sprawiono konfesjonały, przebudowano plebanie, kupiono szaty liturgiczne (komplet ornatów gotyckich, kapy we wszystkich kolorach), postarano się o naczynia liturgiczne.

Praca rozwija się. Wierni wiążą się coraz mocniej z Kościołem. Na nabożeństwa uczęszczają chętnie.

Życie religijne parafii pogłębiają rekolekcje, które odprowadzane są każdego roku w Wielkim Poście. W roku Jubileuszowym były przez dwa tygodnie, dla kobiet i dziewcząt tydzień, i drugi tydzień dla mę-

czyzn i młodzieży męskiej. W grudniu roku bieżącego przez 4 dni wygłaszane były konferencje o życiu z wiary. W ostatnim poście były znów rekolekcje stanowe.

Ludność parafii wywodzi się z całej Polski, wielu jest repatriantów z za Buga. Jakże miło się słucha, gdy proboszcz z pełnym uznaniem mówi o swoich parafianach, że są dobrzy, ofiarni, pobożni, gotowi zawsze pomóc kapłanowi w pracach dla świątyni. Dotąd pomagali zawsze chętnie gdy było trzeba przychodzili gromadą z łopatami, z zapalem pracowali.

Niestety, kościół za mały. Ciasno tu i duszno w gorące dni. Proboszcz ma szerokie plany poszerzenia i odmalowania kościoła.

Prócz swojej parafii obsługują XX. Salezianie nieobsadzoną parafię Kobylnicę, gdzie brak w tej chwili kapłana.

Do obsługi kapłańskiej są na terenie parafii cztery kościoły. Życzymy parafii św. Rodziny w Słupsku jak najpiękniejszego rozwoju.

(GG)



Nowe katechistki opuściły ośrodek szkoleniowy, aby poświęcić się pracy religijnej.

KOŚCIÓŁ I ŚWIAT

— **Najmłodszym chyba biskupem Kościoła katolickiego jest biskup Eugeniusz Hurley, wikariusz generalny Natalu (Południowa Afryka), konsekrowany przed czterema laty. W chwili nominacji biskup Hurley liczył ledwo 31 lat.**

— **100 lat katolicyzmu w Nowej Zelandii.** Katolicy Nowej Zelandii obchodzili ostatnio uroczystości 100 rocznice wprowadzenia katolicyzmu na wyspę. Centralne uroczystości odbyły się w mieście Christchurch z udziałem dostojników kościelnych i tłumów wiernych. Pierwszymi katolikami byli tu biedni emigranci irlandzcy, zaś kapłanami Marianie francuscy. Po okresie niedoli i przewycięzeniu trudności katolicyzm rozwija się pomyślnie. Liczba katolików stale wzrasta. Bez żadnej pomocy ze strony państwa powstają przy wszystkich kościołach parafialne szkoły katolickie. W chwili obecnej w Nowej Zelandii żyje 216 tys. katolików na ogólną liczbę 1.700 tys. mieszkańców. Nadto jest tu 500 tys. anglikanów i 375 tys. prezbiterianów. Katolicy posiadają przeszło 400 kościołów i kaplic. W Christchurch znajduje się wspólna katedra, będąca jedną z najpiękniejszych świątyni południowych. Czterema okręgami kościelnymi zarządzają 4 biskupi, z których dwaj są Nowozelandczykami, jeden z pochodzenia Anglikiem i jeden Australijczykiem.

— **Instytut historyczny zakonu Dominikanów.** Instytut ten wydaje od dwudziestu kilku lat materiały do historii tego zakonu lub zajmujące się sprawami i ludźmi związanymi w jakikolwiek sposób z jego przeszłością. Są to wydawnictwa bardzo pożyteczne, a dla dziejów Kościoła niezbędne. Dominikanie odgrywali w nich bowiem wybitną rolę. Dość wymienić św. Tomasza z Akwinu, św. Katarzynę ze Sienny, Savonarolę, którego postać i czyny w świetle ostatnich badań nabierają zgoła innego wyrazu. A ileż ciekawych, niezbadanych dotąd lub mało znanych aktów kryje historia zakonu Dominikanów w XIV i XV wieku, jak ciekawą jest epoka między 1470 a 1530 r., w której rozwijał on niezwykle ożywioną działalność wydawniczą w służbie wiary i Kościoła. Łuki te wypełnia Archiwum OO. Dominikanów (Archivum Fratrum Praedicatorum). Jeden z ostatnich tomów zawiera źródłową rozprawę o herezjach średniowiecza, przyczynek do dziejów zakonu na Wschodzie i do żywotów świętych, jakich wydał, analizy dzieł św. Tomasza, omówienie pewnych problemów krytyki literackiej itd. Oto żniwo pracy zasługującej na uwagę.

— **Oryginalna manifestacja maluczkich.**

W kościele św. Andrzeja w Rzymie zebrali się w dniu 12 stycznia dzieci różnych narodowości i w obecności tłumów wiernych opowiedziały każde w swoim języku ojczyznym fragmenty Ewangelii bożonarodzeniowych. Dzieci deklamowały nadto wierszem względnie prozą historię podróży św. Józefa i Maryi z Dzieciątkiem do Egiptu, pienia Aniołów przy żłóbku w stajenke, utwory o gwiazdzie betlejemskiej, która wskazała miejsce urodzenia Zbawiciela Świata itd. Uroczystość została zorganizowana w ramach oktawy święta Trzech Króli.

— **Starożytny posąg Matki Boskiej.** W niewielkim kościółku, położonym opodal Bombaju w Indiach, odnaleziono starożytną statuę Matki Boskiej, wyrzeźbioną w drzewie sandałowym. Jak się okazało statuę tę, przedstawiającą Najświęt. Maryję Pannę wstępującą do nieba, przywieźli do Indii w XVII wieku Portugalczycy. W swoim czasie posąg ten przeniesiono do świątyni hinduskiej, skąd powrócił do kościoła katolickiego.

— **Zagadnienia wychowawcze.** W Asyżu odbyła się pierwsza konferencja poświęcona zagadnieniom rodziny, zorganizowana przez stowarzyszenie Pro Civitate Christiana. — Głównym tematem były zagadnienia wychowania seksualnego z punktu widzenia higieniczno-sanitarnego i pedagogiki chrześcijańskiej.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. **Redaktor:** X. Kazimierz Łabiński. **Adres Redakcji i Administracji:** Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8-9.

P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Włkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 645 — 4. 51.

K-2 — 14682 — 8. 5. 51. Druk ukończono 10. 5. 51.

Chwalcie łąki umajone, góry, doliny zielone.

